ILUSTROWANY
GŁOS NARODU
z dnia 13. Września 1902 r.

SPOTKANIE
(Dwa światy).

Prolog dramatyczny, napisany przez **Macieja Szukiewicza**.

(Dokończenie).

INŻYNIER *(zdziwiony poprawiając okulary)*.
Przepraszam — czyżby wycieczka?
Czy jaki bal kostjumowy?
Lecz — zbyt... à jour ta dzieweczka
U pana zaś w grzywie płowej
Przywiędły wianek laurowy...
FEBUS. Zgubionyś powiadam tobie
Jeśli odważysz się krokiem!
Uczynię cię równym Niobie
Wystrzelam ci wszystkie dziatki,
Krwawym zaleję potokiem.
INŻYNIER. Me dziatki? — mój panie dostojny
— Bo widzę, żeś Olimpczykiem —
O dziatki jestem spokojny.
Nie trwożę się morza rykiem
Ni gór olbrzymich ciężarem
Ani lodowców szelestem —
Drżeć miałbym przed bóstwem starem?
Snać nie wiesz panie kto jestem
(szuka w pugilaresie)
Wybaczcie, nie wziąłem karty.
HEFAJSTOS. Po sercu prostem i szczerem,
Kraszonem szczeremi żarty
Poznaję — tyś inżynierem!
INŻYNIER. Istotnie!
HEFAJST. Znam się już z panem
INŻYNIER. A pan kto? czyżbym z Wulkanem
Recte Hefajstem.
HEFAJST. A właśnie
(ściskają sobie dłonie)
Lecz powiedz mi pan na wstępie
Nie idziesz kraść mego złota?
INŻYNIER. By nowe siać w świecie waśnie?
Lać rzeki krwi, łez i błota?
Nie panie! — Wszak w tym ostępie
Ot tam, u szczytu tej góry
Żelaznych rud łom się kryje.
Te skarby dotąd niczyje
Chcę dobyć z łona natury
I dać je światu całemu.
FEBUS. I przeto mącisz tę ciszę,
Tę świętą ciszę dąbrowy
By tu gdzie kwiat się kołysze,
Gdzie ciche drzemią parowy
Gdzie pachną jasne polanki,
Konwalje, wrzos i sasanki
Od jutra żelazne węże
Żelazną piersią się wiły?
Wpierw belt mój ciebie dosięże!
INŻYNIER. Czy aby starczą ci siły?
Czy aby starczy ci łuku?
Bo chociaż mógłbyś mnie zgładzić,
Z tysięcy kilofów stuku,
Co ci azylum twe mącą
Wiesz chyba, żem tu nie jeden
Za mną tysiące! — tysiącom
Mógłżebyś jeszcze poradzić?

Chcę szczyt przewiercić tunelem
I niezawodnie przewiercę!
FEBUS. I to ci może być celem?
Masz-że ty rozum i serce?
Do czego świat dziś podobny.
I dawniej nieraz był marnym,
Ale był w krasę zasobny,
Węglem nie kopcił się czarnym,
Żelazem miast nie drutował.
Byłeś na Istmie i w Grecyi —
Są-że tam szyny śród pował?
Czyli świątynie me szpeci
Choć jedna, jedyna cegła?
Marmury tylko lśnią cudne!
Więc kiedy rzesza się zbiegła,
Gdy dworce zawrzały ludne,



Prof. Oswald Balzer,
obrońca praw polskich w procesie o Morskie Oko.

Kwiaty mi słano pod stopy
Modlono się do mnie zbożnie
(Dziś jeszcze pachną mi skopy
Pieczone dla mnie na rożnie)
I lud podziwiał u progu
Fidiasa i Praksytela
I kłaniał się nisko bogu
Słońca i Muz i wesela.
Dziś nie mam nawet przysionka!
Z Olimpu wygnan do szczętu
Niesmaku pełen i wstrętu
Po puszczach Febus się błąka.
Lecz przyszła zemsty godzina,
Na śmierć się gotuj niechybną.
INŻYNIER. Posłuchaj — racz słuchać Febie.
Znam Grecję i greckie wina,
Kocham się w Grecyi niebie
I Muzy kocham i ciebie

Fidiasy i Praksytele
A gdy w Atenach ujrzałem
Świątyni twej kapitele
Zgiąwszy kolana zadrżałem
Przed piękna tym ideałem
Zakutym w głaz i marmury.
Wieczysta twórcom ich chwała,
I nieśmiertelne ich piękno!
FEBUS *(do Nimfy)*. Ma sens przemowa ta cała,
Wstręt, gniew i złość we mnie miękną.
INŻYNIER. Jeżeli panie twe trony
Dziś kupą są rumowiska
My temu niewinni panie
Chociaż dziś jesteś strącony,
Choć u twego ołtarzyska
Łój wolich udźców nie pryska,
Choć ci odjęto Fidiasa,
Choć wytrącono piedestał
To przecie żyje wciąż krasa
I świat być pięknym nie przestał!
FEBUS. Urągać przyszedłeś niecny.
INŻYNIER. Świat piękny pięknem odmiennem
Niż bywał nim za dni twoich.
Dziś duch nad kształt jest piękniejszy
I kształt mu dziś stał się lennym.
FEBUS. Dziwny ten świat wasz dzisiejszy,
Nieomal poznać go życzę.
INŻYNIER. Jeśli dostojność twa raczy
Zawezwę przed twe oblicze
Czeladki mojej junaczej.
Jeśli w rubasznej ich mowie
Nie zdołasz dopatrzeć krasy
Weź życie! niech w tym parowie
Odpocznę po wszyttkie czasy.
Czy zgoda?
FEBUS. Zgoda.
INŻYNIER *(wołając w otwór tunelu)*
Hej wiara!
(wchodzi kilkunastu robotników z różnemi przyrządami mierniczemi — w rękach młoty, łopaty, kilofy).
1. ROBOTNIK *(wskazując Feba)*. A to co?
2. ROBOTNIK. Cóż za maszkara?
INŻYNIER. Słuchajcie — kark w zakład dałem.
Powiedzcie czym śmierć zasłużył?
1. ROBOTNIK. Kto was chce krzywdzić psia para?
KILKU. Zasłońmy go naszem ciałem.
NIMFA *(do Feba)*. Jakież z nich straszne brudasy!
FEBUS *(lutnią Nimfy mierząc w łeb inżyniera)*,
Giń nędzny!
1. BOBOTNIK. Co golcze? za co?
FEBUS. On Feba, mnie, boga zdurzył!
1. ROBOTNIK *(odwinąwszy rękawów i popluwszy w garści)*
A może ze mną w zapasy?
Ty bóg — a on co? ladaco?
Wiesz ty, że czołem ci przed nim?
Znasz ty się z życiem powszednim,
Ze życiem w trosce i głodzie?
Posłuchaj — miałem mórg roli,
Mórg roli bagnistej gleby.
Gniły mi kłosy w tej wodzie,
Pleśniały mąki i chleby
To boli, to strasznie boli...

Bezradny byłem — w tem oto
Bóg go nam zesłał w niedoli
I on to, on swą robotą
Wyrwał nas śmierci głodowej.
2. ROBOTNIK. To fracha! Mnie ty posłuchaj.
Służył mój syn przy marynie,
Statek był tęgi — w tem nagle
Jak statkiem wiatr nie zawinie,



Gmach sądu karnego na ulicy Jacominiego w Hradcu, gdzie się toczą obrady w sprawie Morskiego Oka.

Trzasnęły maszty i żagle,
Już toną, już chlipią wodę,
Aż tu w tak straszną przygodę
Parowiec gwizdnął, podpływa
I cała załoga żywa.
On kul ten okręt ze stali
On chłopca wyrwał mi z fali.
Codziennie z matką staruchą
Modlimy się za twe zdrowie.
FEBUS. Trudno z powieką stać suchą...
Cóż dalej moi panowie?
3. ROBOTNIK. Ot co tu długo gawędzić.
Żyło nas w izbie siedmioro,
W lecie się można uwędzić
A jak się mrozy zabiorą,
Jak z beczki ze ściany ciecze
Duś się, lub szczękaj człowiecze!
Dzieci mi więdły jak kwiatki,
Czworo mi zmarło w tej norze,
On uratował ostatki,
On uratował — o Boże
Długiego użycz mu życia.
ROBOTNICY. Żyj, żyj nam panie, a długo!
HEFAJSTOS. Dumnym z takiego kolegi.
FEBUS. Lubiłem niegdyś zaiste
Łuk prężyć na tłum Argiwów,
Patrzeć na łzy ich rzęsiste,
Lecz te łzy pełne są dziwów
Mają coś w sobie z Ambrozyj
Coś z miodnych patok Hymetu,
I jak brylanty są czyste.
Więc daruj mej animozyj —
Świętą jest ona lecz nie tu
Nie tutaj — mówię to szczerze.
Uznaję panie twe dzieła
I w dziwną krasę ich wierzę
I widzę, że nie zginęła
Choć w inne kształty zaklęta.
Mówiłeś, że tam ku szczytom,
Gdzie lodów iskrzą się pęta,
Idziesz pierść łamać granitom,
Idziesz przez żleby i garby
Po nowe rudy i skarby —
Idź zatem. Hefajst na przedzie
Niechaj was uczy i wiedzie
(do Nimfy)
A ty nadobna — idź z niemi
W ich tropy tocz się po zwirze,
Gdy trud ich zegnie ku ziemi,
Gdy potem zroszą się krzyże,
Język im przyschnie do wargi,
Niech w tobie mają ochłodę,
Niech zasłuchani w twe skargi,
W twe szepty, gwary i pieśni
Jak Grecy kochają przyrodę.
A ty kudłaczu, ty synku
Weźmij piszczałkę trzcinową
W barakach gdy śpią lub w szynku
Ty cicho krąż im nad głową
Przygrywaj, do sny im śpiewaj
I woń polanek nawiewaj
Niech słodkie, lube sny mają.
FAUN. Ładny kwiat, chodzić z tą zgrają.
HEFAJST. Straszneś mi udał się wasan.
Pal dyabli miny me złote,
Więc choć okrutniem dziś shasan
Pokulam wraz na robotę.
INŻYNIER. Hej chłopcy za mną a żywo,
(do Feba) A ty zaś panie wiedz o tem
Oddawna mózg nasz się trudzi
Stworzyć maszynę z polotem
Z polotem śmiałym, sokolim.
Gdy zrobim — przyszlem ją tobie,
Uciekniesz na niej od ludzi
I będziesz mógł tak jak „olim"
Parnaskie zasiadać trony.
FEBUS. Na seryo?
INŻYNIER. Zapewniam panie.
FEBUS. Czy nie przedwczesne przechwałki?
Nazbyt to trudne zadanie
Lecz takie zuchy i śmiałki...
No, bywaj
(poprzedzeni Hefajstosem wychodzą Inżynier z Nimfą, za nimi Faun i robotnicy)
FEBUS *(sam)*. Coś im się troi
Biedakom... Lecz nużby, a jeśli
Maszyną swą między bogi
Na Olimp znów by mnie wnieśli?
Wtedy im łask nie poskąpię.
Nie łudząc się pseudowładzą
Pochowam w kołczan me strzały
Pożyczę u Muz animuszu
I takie im rymy wytnę
Symbolistyczno-błękitne,
Że będą nadstawiać uszu,
Że zakochani w mej wenie
Role wybornie obsadzą
I fraszkę tę ujrzą na scenie
W ćwierćwiecznym jubileuszu.

T. M. DOSTOJEWSKI.

BIAŁE NOCE.

Noc czwarta.

Boże, czem się to skończyło! Czem się to wszystko skończyło!

Przyszedłem o dziewiątej. Była już. Z daleka ją zobaczyłem: stała tak, jak wtedy, w pierwszy dzień, oparta o poręcz. Nie słyszała, jak podszedłem do niej.

— Nastienka! — zawołałem, mocując się ze wzruszeniem.

Szybko zwróciła się ku mnie.

— No — powiedziała — no! Prędzej!

Patrzyłem na nią zadziwiony.

— No gdzież list! List — powtórzyła, chwytając ręką za poręcz.

— Nie mam listu — zdołałem nareszcie przemówić. — Czyżby jeszcze się z panią nie widział?

Zbladła straszliwie i długi czas patrzyła na mnie bez ruchu. Rozbiłem ostatnią jej nadzieję.

— ...Niech mu to... — przemówiła wreszcie urywanym głosem — ...Bóg niech mu przebaczy, kiedy mnie tak opuszcza.

Spuściła oczy, później chciała spojrzeć na mnie, lecz nie mogła. Kilka minut walczyła ze wzruszeniem, ale naraz odwróciła się, upadła rękoma na balustradę bulwarową i zalała się łzami.

— Proszę pani, proszę pani... — chciałem mówić, ale zabrakło mi sił, gdym spojrzał na nią — a zresztą co mówić?

— Niech mnie pan nie pociesza, niech pan o nim nie mówi, niech pan nie mówi, że przyjdzie, że nie porzucił mnie tak boleśnie, tak nielitościwie, tak nieludzko. Za co, za co? Czyż było cokolwiek w moim liście takiego, w tym nieszczęsnym liście?...

Łkania przerwały jej mowę, serce mi się rwało.

— O jak nieludzko, nielitościwie! — zaczęła na nowo — i ani wiersza, ani wiersza! Niechby choć odpowiedział, żem mu zbyteczna, że mnie odtrąca! Ani jednego wiersza, przez całe trzy dni! Jak łatwo mu znieważać biedną, bezbronną dziewczynę, co zawiniła tylko tem, że go kocha! Ilem ja wycierpiała przez te trzy dni! Boże mój! Boże mój! Gdy wspomnę, żem sama doń przyszła, żem się przed nim poniżyła, płakała, żem błagała o kroplę choćby miłości... I po tem wszystkiem!. Panie, — zwróciła się naraz do mnie, a czarne jej oczęta błysnęły — to nie może być! Nie może być; to nie naturalne! Albo pan się omylił, albo ja; może mu listu nie doręczono? Może o niczem do tej pory nie wie? Jakżeż inaczej można, niech pan pomyśli sam, niech pan powie — na miłosierdzie boskie, niech mi pan wytłomaczy — ja pojąć nie mogę — jak można tak barbarzyńsko brutalnie postąpić, jak on ze mną postąpił! Ani jednego słowa! Dla ostatniego człowieka na świecie mają przecie wzgląd. Może on co słyszał o mnie, może mu kto coś powiedział na mnie? — krzyknęła, zwracając się do mnie z pytaniem. — Jak pan myśli?

— Nastienka... Proszę pani. Niech pani słucha: ja jutro pójdę doń w imieniu pani.

— No?

— Zapytam go wprost o wszystko.

— No, no?

— Pani napisze list. Niech pani nie mówi: nie! Ja zmuszę go do uszanowania postępku pani, o wszystkiem się dowie, o wszystkiem...

— Nie, proszę pana, nie — przerwała mi. — Dosyć! Więcej ani słowa, ani jednego słówka odemnie. Ani jednego wiersza — dosyć! Nie znam go, nie kocham go już... za-po-mnę o nim...

Nie domówiła już do końca.

— Nastienka, Nastienka! Proszę usiąść — uspokajałem ją.

— Już nie będę. Już nie. To tak! To łzy: wyschną! Czy pan myśli, że się zabiję, że się będę topiła?

Przepełniało mi serce — chciałem mówić, nie mogłem.

— Panie, drogi mój panie — wzięła mnie za rękę. — Niech mi pan powie: czy pan by tak postąpił?

— Nastienka! — krzyknąłem nareszcie; poniosło mnie wzruszenie. — Nastienka! Mnie to rwie w kawały! Pani szarpie moje serce, pani mnie zabija! Nie mogę milczeć! Muszę nareszcie mówić! Muszę wypowiedzieć wszystko to, co się nagromadziło w sercu...

Mówiąc to, wstałem z ławki. Ona wzięła mnie za rękę i patrzyła zdumiona.

— Co panu jest? — przemówiła nareszcie.

— Nastienka — zacząłem decydująco: — wszystko, co teraz powiem, to niedorzeczność, to nie do urzeczywistnienia, to głupie! Wiem, że to się nigdy nie stanie, ale milczeć nie mogę. Imieniem własnego pani cierpienia błagam zawczasu: proszę mi przebaczyć.

— No, co, co? — mówiła, przestawszy płakać i bez przerwy patrząc na mnie, podczas gdy dziwna jakaś ciekawość błyszczała w zdumionych jej oczętach. Co takiego?

— To się nigdy nie stanie, ale ja panią kocham. Ot co! Powiedziano już! — dodałem, machnąwszy ręką.

— No więc co? Cóż z tego? Dawno wiedziałam, że pan mnie... ale mnie się wydawało, że tak... zwyczajnie. Boże, Boże mój!

— Z początku zwyczajnie Nastienka, ale potem...

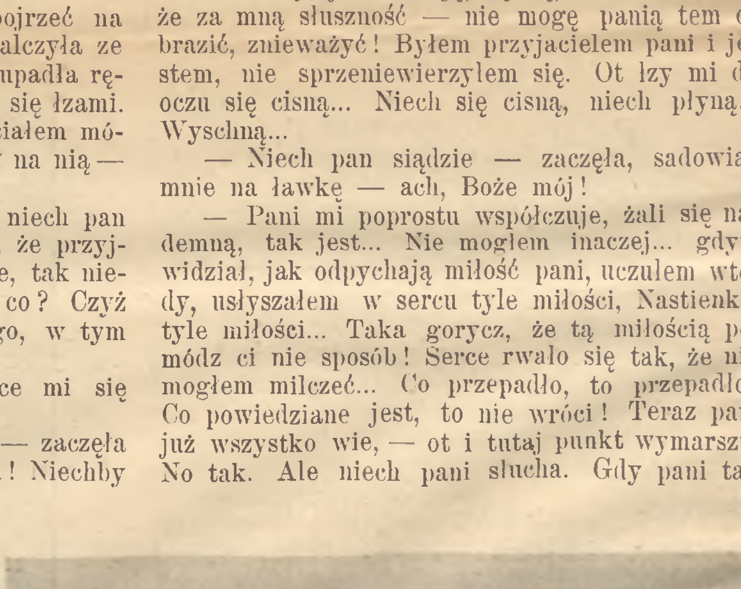
— Co to jest, co pan mi mówi!? Ja naprawdę... naprawdę nie rozumiem. Proszę pana po co,.. to jest, nie po co... dlaczego pan... i tak naraz... Boże, ja głupstwa mówię! Ale pan...

I Nastienka zmieszała się zupełnie, zapłonęła, oczy spuściła...

— Cóż robić, Nastienka, stało się. Moja wina, nadużyłem chwili... Nie, Nastienka, nie, niema w tem winy, ja to czuję, słyszę, serce mi mówi, że za mną słuszność — nie mogę panią tem obrazić, znieważyć! Byłem przyjacielem pani i jestem, nie sprzeniewierzyłem się. Ot łzy mi do oczu się cisną... Niech się cisną, niech płyną... Wyschną...

— Niech pan siądzie — zaczęła, sadowiąc mnie na ławkę — ach, Boże mój!

— Pani mi poprostu współczuje, żali się nademną, tak jest... Nie mogłem inaczej... gdym widział, jak odpychają miłość pani, uczułem wtedy, usłyszałem w sercu tyle miłości, Nastienka, tyle miłości... Taka gorycz, że tą miłością pomódz ci nie sposób! Serce rwało się tak, że nie mogłem milczeć... Co przepadło, to przepadło! Co powiedziane jest, to nie wróci! Teraz pani już wszystko wie, — ot i tutaj punkt wymarszu. No tak. Ale niech pani słucha. Gdy pani tak



Dwór w Oblęgorku, własn. ziem. Henryka Sienkiewicza.

siedziała i płakała, myślałem sobie (niech mi pani pozwoli powiedzieć, co myślałem), myślałem, że, (rozumie się, że to niemożliwe), myślałem, że, pani... myślałem, że pani jakoś tam... no jakoś cudem, czy co... że pani go już nie kocha... A wtedy — ja myślałem o tem już i wczoraj

i przedwczoraj — Nastienka, jabym już był taki, żeby mnie pani koniecznie musiała... polubić: przecież pani sama i sama pani mówiła, że pani prawie, że mnie kocha. No więc cóż? Prawie już wszystko, co chciałem powiedzieć; pozostaje tylko do uzupełnienia... trzeba jeszcze powiedzieć, coby było, gdyby mnie pani... pokochała, to tylko, więcej nic! Ja naturalnie jestem człowiek prosty, biedny, taki bez znaczenia, ale zresztą, nie o tem chciałem (ciągle nie to mówię, co chcę: to z powodu tego, Nastienka), chcę mówić, że takbym panią kochał, tak kochał, że choćby pani jeszcze kochała tego, którego nie znam, to jednak moja miłość nie zaciężyłaby pani... Czułaby pani tylko w każdej chwili, że bije obok wdzięczne serce, wdzięczne serce, gorące serce, które za panią... Och! Nastienka, Nastienka! coś ty ze mną zrobiła!!

— Niech pan nie płacze, ja nie chcę, by pan płakał! — zerwała się z ławki. — Chodźmy. Niech pan idzie ze mną, niech pan nie płacze — mówiła, ścierając mi łzy z twarzy — no, chodźmy teraz może powiem co... Skoro on mnie tak porzucił, to chociaż go jeszcze kocham (nie chcę pana oszukiwać)... to — niech mi pan odpowie... Gdybym pana pokochała, naprzykład... to jest, gdybym tylko... Och! panie... Gdy wspomnę, gdy wspomnę, jak kiedyś śmiałam się z miłości pańskiej, jak pana chwaliłam, że pan się nie zakochał we mnie! O Boże, jak ja nie przewidziałam, jak nie przewidziałam... jaka głupia byłam, ale... Zdecydowałam się: powiem wszystko...

— Nastienka — wie pani co? Ja pójdę... Poprostu męczę tylko panią. Pani teraz przechodzi wyrzuty sumienia, że pani się śmiała... a ja nie chcę, tak jest, nie chcę, by... dość pani ma swojej męki... Zawiniłem i pójdę.

— Niech pan zaczeka, proszę mnie wysłuchać: pan może czekać?

— Jakto... Na co czekać?

— Kocham go, ale to przejdzie, powinno przejść, już przechodzi... Może dziś to się już skończy, dla tego, że nienawidzę go, dlatego, że on drwił ze mnie, kiedy pan razem ze mną płakał, dlatego, że pan nie odepchnąłby mnie, dlatego, że pan mnie kocha, a on mnie nie kochał, dlatego wreszcie, że ja sama pana kocham... Tak jest, kocham! Kocham tak, jak pan mnie kocha; przedtem jeszcze panu o tem mówiłam, sam pan słyszał, — dlatego kocham, że pan lepszy od niego, dlatego, że pan szlachetniejszy od niego, dlatego, że on...

Wzruszona była biedaczka tak ogromnie, że nie mogła dokończyć, położyła mi głowę na ramię, potem na piersi i serdecznie zapłakała. Pocieszałem ją, przekładałem, — nie mogła jednak przestać; ściskała mi ciągle rękę i powtarzała wśród łkania: „Niech pan zaczeka, niech pan zaczeka, przestanę w tej chwili! Chcę panu powiedzieć... Niech pan nie myśli, żeby te łzy... to tak, z powodu, żem ta słaba, niech pan zaczeka, przestanę..." Wreszcie przestała, otarła łzy i poszliśmy znowu. Chciałem był mówić, lecz ona ciągle prosiła, by poczekać jeszcze. Milczeliśmy... Wreszcie przyszła do siebie i zaczęła mówić:

— Więc — zaczęła cicho, słabym głosem i drżącym, w którym jednak dźwięczało coś takiego, co wbiło mi się w serce i jęknęło tam słodko — niech pan nie myśli, żem niestała i wietrzna, niech pan nie myśli, że tak prędko mogę zapomnieć i zdradzić... Rok cały go kochałam i niech Bóg będzie świadkiem, że nawet myślą nie byłam mu niewierną. Pogardził tem, wydrwił mnie — niech tak będzie! Ale on zranił i znieważył moje serce... Nie kocham go, bo bo... bo mogę kochać to tylko, co szlachetne, co mnie rozumie, co jest wzniosłe, bo sama jestem taka i on nie wart takiej miłości — niech i tak będzie! Lepiej, że to się stało teraz, niżbym miała potem przejrzeć go i tak się oszukać... No rozumie się! Ale skąd można wiedzieć, czy cała ta moja miłość nie była złudzeniem zmysłów, wyobraźni, być może wyrodziła się z pustoty, zabawy, z powodu, żem była pod kontrolą babki? Być może, żem powinna kochać innego, a nie jego, nie takiego człowieka, innego, coby mi współczuł i który, który... Dajmy temu spokój, dajmy spokój — powiedzieć tylko chciałam... chciałam panu powiedzieć, że mimo to, iż go kocham (nie: iż go kochałam), jeżeli tylko pan... Jeżeli pan czuje, że miłość pańska jest tak wielka, że wyprze z serca mojego tamtą... poprzednią... Jeżeli pan się pożali nademną, jeżeli pan nie zapragnie pozostawić mnie samą losowi, bez pociechy, bez nadziei, jeżeli pan chce mnie kochać zawsze tak, jak dziś, to przysięgam, że wdzięczność... ze miłość moja wreszcie będzie godna miłości pańskiej...

— Nastienka! — krzyknąłem, dusząc się łkaniami — Nastienka!... O, Nastienka!

— No dość, dość. Dość już teraz! — przemówiła, walcząc ze sobą — powiedzieliśmy sobie już wszystko, prawda? Tak? Pan szczęśliwy i jam szczęśliwa — i jam szczęśliwa; ani słowa więcej; później. Niech się pan zlituje... O czem innem, o innem, na miłość Boską!...

— Tak jest, Nastienka, tak! Dość o tem, teraz szczęśliwym, teraz... No, Nastienka, mówmy o czem innem, prędzej, mówmy prędzej; tak. Dobrze. (D. c. n.)

KAZIMIERZ KALINOWSKI.

GRZYBY.

Z wierzeń ludowych.

Powiadają, że kiedy Pan Bóg świat stworzył, tyle miał kłopotów na głowie, iż często zapominał o niejednej rzeczy potrzebnej, którą sobie zrobić zamierzał, wszystko z góry obmyśliwszy mądrze.

I tak np., kiedy stworzył lasy, zaczęły się niebawem przed Panem Bogiem żalić ptaki i drzewa, jako też inni mieszkańcy kniei, iż zapomniał Stwórca umieścić w zaroślach stróżów leśnych.

A wtedy Pan stworzenia powołał do życia duchy leśne, które starać się muszą wiecznie, aby w tem królestwie ciemnem panowała zgoda między różnorodnymi mieszkańcami ze świata roślinnego i zwierzęcego.

I jakże to wyglądają owe duchy leśne?

To grzyby.

Tylko, że wówczas, gdy je Bóg po raz pierwszy między mchami i jagodami umieścił w gęstwinie paproci i dębiny, nie były one jeszcze podobne go grzybów dzisiejszych, chociaż z tego samego co i teraz materjału zrobione, przypominały z daleka postać ludzką; bez wyraźnych kształtów, jednakże miały coś w rodzaju rąk i nóg, a w miejscu głowy jakąś kulkę niezgrabną, schowaną pod kapeluszem lub czapką: ot, jak gdyby ktoś na prędce ulepił lalkę.

Kiedy to Adam zauważył, zaraz poszedł na skargę do Pana Boga:

— Jakto — powiada — więc moje dzieci, póki będą małe, mają być podobne do tych marnych grzybów? Możeby to, Panie Boże, dało się jeszcze jakoś odmienić... Bardzobym prosił o to...

Więc Stwórca, chcąc zadowolić człowieka, odjął grzybom tę kulkę u góry, przypominającą nieco główkę dziecka; a co do kapelusza, wytłomaczył mu, że w żaden sposób nie może go im odebrać, gdyż grzyby kryjąc się w kniei w gąszczach największych, tuż pod gałęźmi choiny i ciernistych krzaczków leśnych, muszą mieć jakąś osłonę przed ich ostremi kolcami i szpilkami zależnie od tego, co gdzie bywa dla nich dogodniejsze, mają czapeczki lub kapelusze szerokie.

Dopiero zaś po potopie, w miejsce dawnych, powyrastały w ciemnych borach takie grzyby, jak dzisiejsze; w namulonej bowiem ziemi, skutkiem mnóstwa wody, każdemu grzybowi zrosły się dwie nóżki.

* * *

Przed wielu, wielu wiekami miał na ziemi żyć po lasach dziwny naród.

Były to karzełki maleńkie niezwykle; mało którego z nich, gdy się w gęstwinie zielonej uwijał w poszukiwaniu żywności, można było dostrzedz z pod ogromnego kapelusza barwnego, jakim każdy, ze względu na wzrost swój, niższy od zwieszających się tuż nad ziemią gałęzi sosnowych i jodłowych, osłaniać się musiał przed ich igiełkami. Dla łatwiejszego rozpoznawania się pomiędzy sobą, starali się oni, aby każdy, o ile możności, odmienny nosił kapelusz lub czapkę inną, niż reszta towarzyszy, przyczem używali też przeróżnych kolorów.

Zły to był naród, podobno bardzo zły, jakkolwiek w najlepszej zgodzie żyć miały te karły między sobą. Straszną jednak nienawiścią pałały do innych, to jest zwykłych ludzi, którzy — rzecz prosta — w oczach tych malutkich krasnoludków, musieli uchodzić za istnych olbrzymów.

Ile razy bowiem jaki człowiek, przyszedłszy do lasu, zaczął wyrąbywać po kolei drzewa, padała na ziemię kłoda po kłodzie, uśmiercając ciężarem swoim setki naraz przywalonych karlików. To samo, gdy znów inny olbrzym jaki zaczął uganiać się po kniei za zwierzyną dziką lub ptactwem leśnem, napewno wytratował także mnóstwo mieszkańców boru w kapeluszach kolorowych, że ich drobnemi trupami zasłane były mchy po zaroślach.

Jakże dziwić się tym krasnoludkom, że kochać nie mógł z nich żaden owych ogromnych gości lasu, którzy tylko śmierć im nieśli za każdym razem?...

Ale też w straszny sposób mściły się na nich te karliki, przy każdej sposobności napadając na dużych ludzi z wściekłością prawdziwą. Co zaś najgorsza, że naród tych maleńkich leśników miał jakieś tajemne trucizny okropne, któremi walczył chyłkiem z ukrycia, zatruwając niepostrzeżenie n. p. zwierzynę, przez olbrzymich myśliwych upolowaną lub gryząc ich jadowicie po nogach, tak, że niejeden człowiek życiem przypłacał swą wyprawę w głąb borów.

Ot, co się raz przydarzyło. Szedł przez las sam Chrystus za owych czasów, kiedy to po świecie chodził nasz Zbawiciel, a szedł w towarzystwie św. Piotra. Żaden z nich nawet się nie natknął na karzełków, których omijali obaj — swoim pięknym zwyczajem — nie chcąc nigdy nikomu wyrządzać najmniejszej przykrości czemkolwiek... Ale tym malutkim złośnikom nie spodobali się widocznie ci dwaj spokojni podróżni niezwykli — i dalejże na nich kamieniami ciskać... A wtedy św. Piotr, opowiedziawszy swemu mistrzowi, ile to złego już ludziom wyrządzili ci leśnicy bezbożni — lubo tak maleńcy— prosił Chrystusa, by ich przykładnie ukarał.

— Zobaczysz, Piotrze, iż gorzej sobie postąpią ze mną inni ludzie — odpowiedział Chrystus.

Atoli pewnego razu gradem słów obelżywych i kamieniami obrzucili owi karlikowie Matkę Boską, cichutko przesuwającą się przez las z jednej wsi do drugiej. Tego było Panu Jezusowi za wiele i przemienił ich wszystkich naraz — w grzyby.

Lecz wmieszała się w to Królown Niebieska.

— Niechże przynajmniej biedni ludzie mają z tej zamiany jaki pożytek...

I od tej chwili grzyby stały się jadalne. Lecz djabeł, dowiedziawszy się, co Panna Marja zrobiła dla dobra ludzi, zaraz pobiegł do lasów, wsączył po kropelce jadu, ich sposobem przyrządzonego, w każdy dziesiąty grzyb. Skutkiem tego zaś po dziś dzień nie wszystkie grzyby jeść można, a nawet otruć się łatwo, jak mówią gdzieniegdzie: „co dziesiątym grzybem".

(Z „Kur. Warsz.").



Źródło mineralne „Ursus" w parku Oblęgorka, własn. ziem. Henryka Sienkiewicza.

CO CZYTAĆ?

Biblioteka utworów dramatycznych.

Staraniem księgarni H. Altenberga we Lwowie wychodzi biblioteka najcelniejszych dramatów zarówno nowoczesnych jak i z klasycznej literatury branych. Na dotychczasowy spis złożyły się następujące dzieła: Björnsona - Bjönstjerne: „Laboremus" tł. dr Alfred Wysocki; Hermana Hejiermansa: „Nadzieja" tł. Jan Kasprowicz; Eurypidesa: „Cyklop" tł. J. Kasprowicz; Grillparzewa: „Biada kłamcy" tł. Jan Kasprowicz; Maeterlincka: „Intruz" tł. Zygm. Bytkowski; Ibsena: „Rycerze Północy" tł. dr Alfred Wysocki; Piotra Chamblain de Marivaux „Igraszki trafu i miłości" tł. Zygmunt Sarnecki.

Wartość poszczególnych tych dzieł różna: obok „Cyklopa" Eurypidesa lub „Intruza" Maeterlincka — dość słabe: „Laboremus", lub nudne, rozwlekłe „Biada kłamcy". Obok arystokratycznego, wypieszczonego co do formy: „Igraszki trafu i miłości" — brutalny holenderski melodramat: „Nadzieja".

Biblioteka obliczona jest zapewne na dłuższe istnienie, stąd też wypływa niejaka chwiejność w początkowej redakcji. Na pytanie: „na co

istnieje bibljoteka“, odpowiadać się zdają takie utwory, jak „Nadzieja“, „Eurypides“ lub zapowiedziany „Dramat Kaliny“ — które, bądź są bieżącym repertuarem scen polskich, bądź też stanowią do pewnego stopnia wskazówkę, przypomnienie: „to grać należy bezwarunkowo“. Jeżeli redakcja bibljoteki w ten sposób pojmuje swe zadanie, w takim razie myśl jej trzeba nazwać nietylko szczęśliwą, ale i pożyteczną. Z teatrów u nas korzystają stale tylko mieszkańcy stolic galicyjskich: Lwowa i Krakowa. Inteligencja, rozproszona po prowincji, dowiaduje się o literaturze scenicznej z recenzyj w dziennikach; te z natury rzeczy muszą być niedokładne, w żadnym razie nie zastąpią i nie powinny zastępywać utworu. Stąd też tanie wydawnictwo lepszych dzieł z repertuaru może być dla czytelników z prowincji nieocenioną przysługą.

Ważną zaletą dzieł, drukowanych w bibljotece, jest doskonały przekład — nie wszystkich tomów. to prawda — ale większości. Takim wzorowem tłomaczeniem jest przekład Eurypidesa „Cyklopa“, dokonany przez Kasprowicza.

Jako przykład cytujemy choćby wstęp do dramatu, pierwszy monolog Sylena:

Przez ciebie, Bromju, znoszę przetysiączne znoje —
zarówno dziś, jak wówczas, kiedy ciało moje
młodzieńczą kwitło siłą, gdy za Hery zdradą
uciekłeś swym piastunkom, wdzięcznym Oreadom.
i w onej walce strasznej z olbrzymami ziemi
jam wiernie służył tobie! wszakże dłońmi temi
zwaliłem Enceladа: moja włócznia sroga
przekłuła go wskroś tarczy! majaczę? na boga!
nie! dzisiaj duszy mojej żaden sen nie mroczy!
toć Bromjos widział łup mój na swe własne oczy!
a dziś mnie jeszcze troska stokroć większa truje:
bo kiedy przeciw tobie tyrsenijskie zbóje
wysłała znowu Hera, byś uciekał dalej,
ja, wieść powziąwszy o tem, nie bałem się fali,
lecz razem ze synami skoczyłem oo łodzi,
by szukać cię, o panie, na morza powodzi,
na tyłach mego statku jam ster ujął w dłonie,
a zasię w te błękitne, pieniące się tonie
synowie skwapliwemi uderzali wiosły.
a kiedy ku Malei wody nas poniosły,
wiatr wschodni nas wyrzucił na Etny opoki —
o! tu, gdzie ludożerczy, straszny, jednooki
Cyklopów ród ma swoje ponure jaskinie.
z tych dzieci boga morza oto jeden ninie
przychwycił nas w i sługi zamienił w swym domu.
Polyfem zwie się pan nasz! o godzino sromu!
nie z Bacha dziś rozkoszy nasz się żywot składa:
na paszę wyganiamy Cyklopowe stada!
tam oto na tych zboczach moje syny młode
jagnięta wypasają, a ja muszę wodę
nalewać do koryta: na prostego chłopa
przemienion, muszę izbę zamiatać Cyklopa
i jego przeohydne gotować mu jadło.
w tej oto właśnie chwili z służby mej wypadło,
że trzeba mi się imać żelaznej motyki
i wymieść wszystkie kąty, aby pan mój dziki,
pan Cyklop, mógł z owcami wejść do czystej groty.
już, widzę, moje dzieci wrócą wnet z roboty —
spędzają owce z stoków... a cóż to? tańczycie,
jak ongi, gdy w uciechach upływało życie
bachijskich? gdy na czele rozbawionej zgraji
przy dźwięku lir biegliście do domu Altaji?

Trudno sobie wyobrazić lepsze skojarzenie ducha języka greckiego z najdrzenniejszą właściwością języka naszego. Ten ustęp może raz na zawsze służyć jako przykład, do jakiego stopnia utwór oryginalny można przetworzyć w nowe dzieło sztuki, równie jak i tamto doskonałe.

Niezmiernie staranny jest przykład „Nadziei“, gminny jednak koloryt językowy, jakim tłomacz uposażył gwarę występujących w dramacie, nie odpowiada w zupełności celowi: szczegóły językowe są zanadto wyłącznie polskie, by charakteryzowały marynarzy holenderskich. — Tłomaczyć język jeden na drugi, jest to wogóle sprawa zanadto trudna i niewdzięczna w skutkach artystycznych. Tłomaczenie z obcego języka nie powinno być niczem innem jak tylko wyrażeniem w języku np. polskim tej myśli, którą autor tłomaczony wyraził w swoim. Stąd też prostactwo środowiska marynarskiego u nas, w przekładzie na nasz język powinno było wynurzać się z ducha przetworzonych postaci, a nie z ich słów. Tacy, jakimi ich dał przekład „Nadziei“ — są oni raczej Kujawiakami rozprawiającemi o morzu Północnem, a nie holenderskimi szyprami.

Przekłady z literatury skandynawskiej wyszły z pod pióra dra Alfreda Wysockiego, są to przekłady bardzo poprawne, staranne, a co ważniejsza, raz może nareszcie kładą tamę bezkarnym tłomaczeniom Ibsena z języka niemieckiego.



Świeże siły teatru krakowskiego: p. Helena Arkwinówna, art. dram.

Pod tym względem tłomacze nasi dotychczasowi nie dbali o żadne względy przyzwoitości literackiej — kupowano z bibljoteki Reclama tomik tłomaczeń Ibsena na język niemiecki, i z tego przekładu tłomaczono „Dziką kaczkę“, „Upiorów“, „Rosmersholma“, „Panią Morza“, „Heddę Gabler“, „Norę“ itd. na język polski.

Wogóle pod tym względem stosunki literackie u nas są straszne. Tłomacze i księgarze jakby nie pojmowali do jakiego stopnia... niestosowną rzeczą dawać jest autorów Norwegów, Włochów, Rosjan z niemieckich lub francuzkich tłomaczeń.

Może dobry przykład „Bibljoteki“ zachęci innych księgarzy do lojalniejszego gospodarowania po utworach z obcych literatur. Ludzi, znających obce języki u nas nie brak.

Niezmiernie wytwornym przekładem jest przekład Zygmunta Sarneckiego: „Igraszki trafu i miłości“. Była to praca trudna. „Igraszki trafu i miłości“ — komedja w trzech aktach przez Piotra Chamblain de Marivaux przedstawiona po raz pierwszy w Paryżu przez włoskich aktorów króla Ludwika XV w d. 23 stycznia 1730 r.“— tak brzmi całkowity tytuł dzieła — komedja ta nosi wszystkie cechy dworskiego baroka swojej epoki, dowcipu, sprytu, elokwencji, dworactwa, kunsztu rozmowy, kunsztu najlżejszych djalogów, sztuki „znalezienia się literackiego“, który musiał iść w zgodnej parze z rasowym splendorem ludzi znużonych, zepsutych, ale ludzi o klasycznym kulcie tonu. I ten właśnie ton oddał p. Sarnecki znakomicie. Język tłomacza zachował wszystkie misterne sploty, wykręty stylu francuzkiego, tego stylu, który w najzawilszych ornamentach językowych, nie przestaje być przejrzystym i ścisłym.

Przy omawianiu krytycznem utworów „Bibljoteki“ nie podobna nie zastrzedz się jednak przeciw tłomaczeniu „Nieproszonego gościa“ Maeterlincka. Przedewszystkiem razi sam wyraz „Intruz“ użyty w tłomaczeniu jako tytuł. Literatura polska ma świetny przekład tego dramatu Zenona Przesmyckiego — tłomaczenie więc powtórne jest zbyteczne, a staje się dotkliwem, gdy, jak w danym razie, jest znacznie od tamtego gorsze.

Tłomaczenie „Intruza“ grzeszy zwrotami językowemi wprost niepolskimi, jak np.: „zbawia coś długo z przyjściem na górę“, co miało znaczyć: „zwleka z przyjściem“. — Dalej w tłomaczeniu powtarza się stale taka forma: „Ależ mówi się prawdę dziadkowi“ — forma żywcem przeniesiona z gramatycznej właściwości języka francuzkiego: „on dit donc“ — która w języku polskim powinna brzmieć: „mówię, mówi, mówimy, zależnie od osoby.

Oto jeszcze kilka niezręczności stylowych:

„Nie powinniście chcieć mię oszukać“ (str. 35).

„przecież musiałoby się ojcu powiedzieć“ (str. 35).

„cóż zda się wzajemne oszukiwanie“ (str. 35).

„my prawie się nie trzęsiemy dziadku“ (!!) (str. 36).

„czuję, żeście pobledli bardziej, niż trupio“ (str. 39).

Oczywista zarzutów przytoczyć można więcej.

Dramat Maeterlincka polega na niezmiernie subtelnych odcieniach językowych, małe uchylenie się od skupionego tonu Maeterlinka może sprowadzić mylne znaczenie nietylko pojedynczej sceny, ale i całego utworu. To też dawny przekład Przesmyckiego pod tym względem imponował sumiennością artystyczną. *aut.*

Nasze ilustracje. Z obecnego procesu o nasze Morskie Oko, który tak żywo zajmuje opinję nie tylko polską, dajemy czytelnikom portret profesora Oswalda Balcera, tego dzielnego rzecznika naszych praw i naszego honoru narodowego; dalej podajemy fotografję tego gmachu sądowego, w którym dziś już może zapadnie wyrok w denerwującej sprawie.

* W tych miesiącach nareszcie ukończono ostatecznie zmiany architektoniczne w dworze w Oblęgórku, który Henryk Sienkiewicz dostał jako dar od całego narodu w dzień swego dwudziestopięciolecia. Oprócz dworu dajemy fotografję tego fragmentu parku w Oblęgórku, w którym, jakby pod zaklęciem różczki czarodziejskiej, trysnęło źródło mineralne, nazwane imieniem bohatera „Quo vadis“, źródłem Ursusa.

* Podajemy wreszcie portret nowej niezmiernie utalentowanej artystki sceny krakowskiej panny Heleny Arkwin, która już w kilku, niestety drobnych, rolach miała sposobność wykazać istotę swych scenicznych zdolności.

Nakładem Redakcji „Głosu Narodu“. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.